
EKSPORTOWE MIASTO

**Prewentorium * Wczasy w Karpaczu i Białce * Wystawa kwiatów *
Ośnieżona Szrenica * Litoral w Rumunii * Śmierć ojca * Mishraq w Iraku**

Od pewnego czasu staraliśmy się o umieszczenie naszego 8-letniego Maćka w jakimś górskim prewentorium dziecięcym z powodu jego ciągłych przeziębień i zachorowań na anginę. Starania nasze zostały uwieńczone sukcesem i w pierwszych dniach stycznia Maciek pojechał w grupie dzieci, pod opieką specjalnej wychowawczynie do Szklarskiej Poręby Górnej, na 3-miesięczny turnus do państwowego Prewentorium o nazwie "Jaś i Małgosia". Prewentorium to specjalizowało się w leczeniu tych schorzeń, gdyż warunki klimatyczne gór karkonoskich bardzo temu sprzyjały, odwrotnie niż "zatechły" klimat słabo przewietrzanej niecki krakowskiej.

W pierwszym kwartale 1969 r. chcieliśmy przeprowadzić gruntowną odnowę naszego mieszkania, to też próbowaliśmy umieścić w tym prewentorium również naszego 5-letniego Grzesia. Okazało się to niemożliwe, ponieważ przeznaczone ono było tylko dla dzieci w wieku szkolnym, dla których na miejscu zorganizowane były nauka w klasach 1-6 szkoły podstawowej. Otrzymał on natomiast skierowanie lekarskie do ośrodka dla dzieci w wieku przedszkolnym w Świdnicy i 5 stycznia ta sama pani, która wcześniej pojechała z Maćkiem do Szklarskiej Poręby, odwiozła go do Świdnicy.

Niezwłocznie przystąpiliśmy do remontu i urządzenia naszego mieszkania. Kolejno wynajmowaliśmy specjalizowane ekipy robotnicze, które wykonywały poszczególne prace. Obejmowały one wymianę lastrika na terakotę w kuchni, wykonanie dodatkowych okładzin z fliz w łazience, WC i kuchni, malowanie emulsyjne ścian i sufitów, a olejne całej stolarszczyzny drzwi, okien i szaf, wreszcie cyklinowanie parkietów. Wyburzyliśmy też ściankę działową pomiędzy dwoma małenkimi pokojkami, liczącymi po 7 m², uzyskując w ich miejsce jeden większy 14,5 m². W ten sposób nasze mieszkanie z 4-pokojowego zamieniło się na 3-pokojowe, przy czym chłopcy uzyskali większy pokój, a oddzielny pokój dla stałej pomocy już nie był nam potrzebny.

W czasie remontu mieszkania meble wystawione były przejściowo na korytarzu, w loggii i przesuwane z pokoju do pokoju. Mieszkanie wyglądało więc jak pobojuwisko, a najgorzej w tym bałaganie miała się nasza kotka Czika. Brakowało jej ulubionych miejsc do wylegiwania się, a także obu chłopców. Pisaliśmy co kilka dni listy do synów. Maciek odpisywał sam, zaś za Grzesia, nie umiejącego jeszcze pisać, odpowiadała wychowawczynie grupy. Zwykle pisała na kartce zarysowanej kolorowymi kredkami przez niego. Nieodmiennie dowiadywaliśmy się, że obaj są zdrowi, czują się dobrze i apetyty im dopisują. Chciałem to sprawdzić osobiście i pojechałem w trzecią niedzielę lutego do Szklarskiej Poręby, a w drodze powrotnej zatrzymałem się we Świdnicy. Zamierzałem odwiedzić synów już w styczniu, lecz na kilka ładnych dni zmogła mnie grypa Hong-Kong, jaka grasowała w styczniu tego roku w całej Polsce.

Faktycznie Maciek w swym prewentorium uczył się w drugiej klasie, miał znośne warunki bytowania, wyżywienia, opiekę lekarską, w wyznaczonych godzinach brał udział w zbiorowych zabawach, zwykle na świeżym powietrzu, a najczęściej jeździł na saneczkach. Prewentorium usytuowane było na rozległym, wygrodzonym terenie, na skraju lasu i składało się z kilku pensjonatów, pochodzących z przed pierwszej wojny światowej. Mieszkał w pensjonacie "Jaś", wcześniej w "Czerwonym kapturku", a był jeszcze pawilon "Małgosia", zamieszkały przez dziewczynki. Maciek zachowywał się swobodnie, cieszył się z mego przyjazdu, ale równocześnie pokazywał mi jak się zjeżdża z górki na saneczkach, gdzie chodzą na posiłki itp.

Natomiast prewentorium dziecięce w Świdnicy mieściło się na obrzeżu miasta w jednym niedużym, też bardzo starym, budynku, nie posiadającym żadnego zaplecza terenowego. Akurat była pora kolacji i musiałem zaczekać na przyprowadzenie synka do pokoiku dla odwiedzających. Od razu zorientowałem się, że dzieci poddane są tam ostrej dyscyplinie. Grzegorz był bardzo poważny, jakby zalekniony, na pytania jak się czuje, odpowiadał oczywiście, że dobrze, ale w pewnym momencie się zaciął i zaczął płakać. Serce mi się ścisnęło i powiedziałem mu, że remont wreszcie kończymy i niedługo przyjedziemy po niego.

Rzeczywiście remont przyspieszyliśmy, w każdym bądź razie jeden pokój wyprzedzająco przysposobiliśmy do zamieszkania. A po tygodniu żona pojechała do Świdnicy i, na miesiąc przed upływem turnusu, przywiozła Grzesia do Krakowa. Bardzo się cieszył z powrotu do domu, a najserdeczniej witał się z Cziką. Zresztą kotek też najwyraźniej ożył, biegał za chłopcem i obłapywał łapkami jego nogę, jakby nie chciał, by gdziekolwiek wychodził. Oczywiście, jak dotąd, Kasia odprowadzała Grzesia do przedszkola, ja zaś odbierałem po południu do domu. Natomiast do Maćka nadal staliśmy listy, na które skrupulatnie odpisywałem, zdając relacje ze wszystkich ważniejszych wydarzeń w prewentorium. W ostatnim liście napisaliśmy, iż Kasia przyjedzie po niego w dniu formalnego zakończenia turnusu 28 marca i na dwa dni pojadą do Wrocławia. Zaś od 30 marca wszyscy będziemy na dwutygodniowych wczasach rodzinnych w Karpaczu i że zabierzemy ze sobą także naszą Czikę.

Tymczasem cały marzec wykorzystaliśmy na ostateczne dokończenie remontu i urządzenie mieszkania. Podstawowe roboty, wykonywane przez fliziarzy, malarzy, parkieciarzy itp., zostały już zakończone w lutym. Ale trzeba było jeszcze wykonać wiele różnych prac, związanych z urządzeniem mieszkania. Dotyczyły one umeblowania, wyposażenia łazienki i kuchni, wykładzin podłogowych, zawieszenia firan i zasłon okiennych, ustawienie kwietników w loggii itd. itp. Wykonywaliśmy je, oraz powiązane z tym zakupy, prawie wyłącznie we własnym zakresie. Między innymi na Dzień Kobiet zrobiłem niespodziankę Kasi, zakupując nowoczesną, automatyczną pralkę jugosłowiańską "Gorenje". Polskich jeszcze nie produkowano. Wreszcie wszystko było gotowe i Kasia pojechała 28 marca po Maciusia do Szklarskiej Poręby.

Kwietniowe wczasy w 1969 r. w Karpaczu były to już piąte moje wczasy w tej uroczej miejscowości w Karkonoszach. Tym razem spędziłem je razem z całą mą czteroosobową rodziną. W pierwszych dniach mieliśmy jeszcze zimę z grubą warstwą śniegu. Obaj chłopcy, a ja wraz z nimi, jeździliśmy więc na sankach na stromym, oblodzonym zboczach, tuż za naszym domem wczasowym. Pilnował go duży, zrobiony przez nas, śnieżny bałwan, przy którym nasz kotek miał siedzisko, wyמושzone wełnianym szalikiem. Cały czas było jednak słonecznie i coraz cieplej, więc śnieg szybko topniał, bałwan skarlał, a sanki wkrótce zamieniliśmy na leżaki do opalania się.

Sporo spacerowaliśmy po całym Karpaczu i jego okolicach. Zwiedziliśmy zaporę z zalewem na rzeczce Łomnicy, jaka przepływa przez miasto, tor bobslejowy, skocznię narciarską, kościółek Wang, młyn miłości, jak też wąwóz Babi Jar, w którym dwa miesiące wcześniej zdarzyła się wielka lawina śnieżna. Wieczorami odwiedzaliśmy sąsiednie kawiarenki, graliśmy w ping-pong, piłkarza i szachy. Maciek dodatkowo



Wczasy w Karpaczu

przy mojej pomocy, przerabiał program drugiej klasy podstawowej, bo przecież trwał rok szkolny i mimo przerwy w uczęszczaniu do swej szkoły numer 19 w Krakowie, czekały go tam niedługo oceny ze wszystkich przedmiotów. W tym plusik, że uczył się bardzo szybko, miał dobrą pamięć i oczywiste zdolności, zwłaszcza w zakresie przedmiotów ścisłych.

W drugim, czy trzecim dniu naszego pobytu w Karpaczu-Bierutowicach, zmroziła nas wiadomość o tragicznej katastrofie samolotu pasażerskiego LOT, który, pobłądziwszy we mgle, rozbił się w okolicach Zawoi. Zginęło wtedy przeszło 40 osób, w tym kilka ze świata nauki i kultury, między innymi profesor Z. Klemensiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znany on był szeroko ze swych audycji polonistycznych w radiu, a Kasia dodatkowo знаła go z wykładów.

Na okres naszych czasów przypadły też Święta Wielkanocne. Z tej okazji jadalnia została przez personel ośrodka odpowiednio ozdobiona, zaś w menu posiłków znalazły się tradycyjne dania świąteczne z kruszonkami, szynką i babką drożdżową na czele. Wszyscy wczasowicze wzajemnie składali sobie życzenia i w ogóle było bardzo miło i sympatycznie. Nasza Czika także dostała sporą porcję szynki i chyba orientowała się, że uczestniczy w jakimś dużym święcie.

Po powrocie do Krakowa przede wszystkim musiałem "wyczyścić" wszelkie zaległości, jakie powstały, w czasie mej nieobecności, w pracy zawodowej. Dotyczyły kompletowania i sprzedaży wykonanej dokumentacji, zawierania umów i porozumień dodatkowych z inwestorami, załatwiania korespondencji, koordynacji prac projektowych w pracowni. Nadal głównymi tematami, jakie pracownia PW-2 wykonywała były bazy przemysłowe "Naftobudowa" i "Cenpo" w Płaszowie. Przygotowywałem zaś umowę na opracowanie dokumentacji na budowę dużego biurowca dla Zakładu Przemysłu Gumowego "Semperit", usytuowanego zresztą w pobliżu naszego biura projektowego.

Równolegle w PW-2 opracowywaliśmy wiele innych pomniejszych tematów projektowych. Natomiast w fazie końcowych prac znajdowała się już dokumentacja techniczno-robocza dla Domu Kultury w Myślenicach i supermarketu na osiedlu Azory w Krakowie. Ja w tym czasie, w okresie do lipca, opracowałem projekt techniczny budowy Klubu LZS w Słomnikach. Był to nieduży parterowy obiekt o kubaturze poniżej 1 tysiąca m³. Projekt ten potraktowany został potem przez nasze biuro jako czyn społeczny. Znalazłem też czas, by jeszcze w kwietniu, wraz z Kasią, pójść do kina na najnowszy film Jerzego Hoffmana, będącego ekranizacją trzeciego tomu sienkiewiczowskiej trylogii pt. "Pan Wołodyjowski". Film cieszył się bardzo dużym powodzeniem polskiej publiczności, bijąc rekordy frekwencji. Nam się też bardzo podobał.

Maciek musiał zabrać się forsownie do nauki, by odrobić pewne zaległości i opóźnienia, spowodowane zwolnionym tempem nauki w prewenterium i wczasami w Karpaczu. Radził sobie z tym bardzo dobrze, tak że wychowawczyni klasy nie zgłaszała na wywiadówkach żadnych zastrzeżeń do jego postępów w nauce.

Po zakończeniu roku szkolnego, w pierwszych dniach lipca znów odprawiliśmy naszych obu chłopców do dziadków do Kępna. Te ferie kępińskie 1969 roku były bardzo podobne do poprzednich. Tyle, że wszystkim ich uczestnikom przybywało lat i zmieniały się ich zainteresowania oraz czym innym się zajmowali.

Na przykład mój siostrzeniec Janusz i jego siostra Grażyna wyjeżdżali w czas ferii już raczej na własne wczasy, czy obozy młodzieżowe, najczęściej nad morze. Poza tym Janusz musiał się tego lata pilnie uczyć, gdyż czekał go we wrześniu uzupełniający egzamin z języka polskiego do matury, wieńczącej jego naukę w liceum. Zaangażował się też dorywczo do pracy zarobkowej w jakiejś wrocławskiej firmie budowlanej.

Moja mama, mająca już 67 lat, w większym stopniu niż dotychczas, poszukiwała odpoczynku po pracy w domu i gospodarstwie, to też co dziennie wieczorami zacho-

dziła do zaprzyjaźnionej sąsiadki Jadzi Fikus na "telewizję". Zabierała wtedy ze sobą wnuków, którym też te różne "dobranocki" i filmy przygodowe weszły w nawyk. Tylko dziadek pohukiwał, że "telewizor to złodziej czasu" i zarzekał się, iż nigdy odbiornika TV nie zakupi.

Obaj moi chłopcy pasjonowali się w czasie tych wakacji jazdą na rowerach. W tym celu pomogli dziadkowi wyreperować drugi stary rower, jaki rdzewiał od lat w stodole i obaj ujeżdżali potem te rowery na pobliskich polnych drogach. Kasia natomiast wygośpodarowała kilka wolnych dni, odpracowując je na dodatkowych zmianach i pod koniec lipca pojechała do Kępna. A następnie, po tygodniowym pobycie u mych rodziców, zabrała synów i wróciła z nimi do Krakowa.



W Białce Tatrzańskiej

został zakazany i turyści kilka kilometrów drogi do Morskiego Oka musieli pokonywać na własnych nogach.

Wcześniej, w dniu 19 lipca, odbyło się formalne przekazanie do użytku największego w Krakowie domu towarowego SDH "Jubilat". Uroczystość tę powiązano dodatkowo z obchodami jubileuszu 100-lecia spółdzielczości spożywców w Polsce i 60-lecia tej spółdzielczości w Krakowie. Wziąłem w niej udział jako główny projektant i z satysfakcją przyjmowałem podziękowania, składane przez Radę i Zarząd PSS "Społem" za sprawne opracowanie dokumentacji projektowej na budowę obiektu przez Krakowskie Biuro Projektów Budownictwa Ogólnego. Zaś po tygodniu Zarząd "Społem" przekazał dwie nagrody pieniężne, w wysokości po 5000 złotych każda, za opracowanie dokumentacji projektowej "Jubilate" dla mnie i kol. Kazia Morawca, który wykonał projekty wnętrz.

Od pierwszych dni działania "Jubilat" cieszył się wielką popularnością i na zakupy do niego przyjeżdżali klienci nawet z dalszych dzielnic miasta. Do końca lat osiemdziesiątych był to bezsprzecznie największy obiekt handlowy w Krakowie, tak co do posiadanej powierzchni sprzedażowej, jak i uzyskiwanych

Po czym w sierpniu po raz drugi pojechaliśmy na rodzinne wczasy do Białki Tatrzańskiej. Zamieszkaliśmy u tego samego gazdy, co rok wcześniej. Także tym razem zabraliśmy ze sobą naszą kotkę Czikę. Chłopcy wiele przebywali nad rzeczką Białką, w której jednakże nie sposób było się kąpać, gdyż woda w niej była zawsze bardzo zimna. Pływali natomiast na gumowym pontonie, a Maciek łowił sitkiem małe główacze. Atrakcją dla obu były przejażdżki wierzchem na koniu naszego gospodarza. Również i tym razem, gdy tylko dopisała pogoda, robiliśmy dalsze wycieczki autobusowe. Znow przez jeden dzień wałęsaliśmy się po Zakopanem od skoczni narciarskich po Gubałówkę, na której chłopcy mogli przez lunetę podziwiać panoramę całych polskich Tatr.

Jeden dzień poświęciliśmy na zwiedzanie jeziora Morskiego Oka. Położone na końcu Doliny Rybiego Potoku, otoczonej zwartymi grzaniami szczytów, liczących ponad 2000 metrów n.p.m., sprawia ono wielkie wrażenie na turystach. Było ich tu zawsze bardzo dużo, także podczas naszego pobytu,

Mimo, iż od niedawna ruch kołowy w znacznej części doliny



Przed nowym „Jubilatem”

obrotów handlowych. A po roku funkcjonowania domu towarowego prezes Zarządu M. Rudzki poinformował mnie, przy jakiejś okazji, że roczne zyski osiągnięte w działalności handlowej "Jubilata" przewyższyły nakłady finansowe, poniesione na jego kilkuletnią budowę. Była to więc bardzo udana inwestycja, służy zresztą z wielkim powodzeniem mieszkańcom Krakowa do dzisiaj.

Latem 1969 r. miały również miejsce dwa wydarzenia rangi ogólnopolskiej, którymi interesowałem się szczególnie. Były to: dymisja generała de Gaulle'a z prezydentury Francji oraz pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu.

Zgodnie z zapowiedzią prezydenta Francji Charles de Gaulle'a, w dniu 27 kwietnia odbyło się we Francji ogólnonarodowe referendum w sprawie wprowadzenia czterech reform przez niego proponowanych. Dotyczyły one współzarządzania pracobiorców w zakładach pracy, utworzenia 22 regionów gospodarczych w państwie, umniejszenia roli Senatu, nadania autonomii wyższym uczelniom. Wyniki referendum były negatywne dla de Gaulle'a i wkrótce podał się on do dymisji, przeniósł do swej posiadłości w Colombey, a następnie wyjechał wraz z żoną do Irlandii. Wrócił po wyborze 15 czerwca nowego prezydenta V Republiki, którym został były premier Georges Pompidou.

De Gaulle niewątpliwie miał żal i pretensje do narodu francuskiego za odwrócenie się od niego, za krytykę i upokorzenia, których doznał, zwłaszcza podczas wielkich strajków i niepokoїв społecznych latem 1968 roku. Po powrocie do kraju rzekł się demonstracyjnie pensji i renty wojskowej, żył tylko z honorariów autorskich za pisaną na emeryturze książkę "Pamiętniki nadziei". Umarł już w następnym 1970 roku, w dniu 9.XI, w wieku 80 lat. Miał chyba najwspanialszy pogrzeb w XX wieku, w którym wzięli udział przywódcy 86 państw z całego świata.

Dla mnie generał de Gaulle był idolem. Uważałem go, zwłaszcza z pewnej perspektywy czasowej, za polityka i męża stanu największego w naszym stuleciu. Wyprowadził Francję w 1958 r. z zapaści politycznej i gospodarczej i w ciągu 10 lat swych rządów uczynił z niej pierwszoplanowe mocarstwo europejskie. Był rzecznikiem niezależności Francji w stosunku do USA i propagował wizję zjednoczonej Europy od Atlantyku po Ural. Wobec Polski i Polaków był zawsze przyjazny.

W lecie 1969 r. miało też miejsce najbardziej spektakularne wydarzenie roku. W dniu 20 lipca po raz pierwszy w historii ludzkości człowiek znalazł się na Księżycu. Był to kosmonauta amerykański Neil Armstrong, który wraz z dwoma innymi, wylądował na Srebrnym Globie w module księżycowym "Eagle", dostarczonym ze statku kosmicznego "Apollo 11" z orbity księżycowej. Cała ta odyseja, od startu do powrotu na Ziemię, była szczytowym, wysoce prestiżowym, osiągnięciem technicznym, którym USA zademonstrowały ostateczne doświadczenie ZSRR w podboju Kosmosu. Wyczyn ten został powtórzony 19 listopada, gdy na Księżycu wylądował kolejny "Apollo 12" z dwójką kosmonautów.

Z dniem 1 września również nasz 6,5 letni Grzesiek zaczął naukę w szkole podstawowej. Odtąd obaj chłopcy rano, po małym śniadaniu w domu, wędrowali z tornistrami do tej samej szkoły numer 19, zresztą usytuowanej po drugiej stronie ulicy. Zwykle ja chodziłem potem na szkolne wydawówki, na których wychowawczynie klasowe zgłaszały rodzicom problemy, związane z nauką ich dzieci. Nie pamiętam, aby zgłaszane były jakiekolwiek negatywne uwagi odnośnie nauki, czy zachowań moich synów. Gdy zaś sam pytałem o opinię o nich, to słyszałem same pochwały. Natomiast wciągnięty zostałem do prac w Komitecie Szkolnym.

W całym okresie Polski Ludowej było w zwyczaju, że większe zakłady pracy opodatkowywały się na rzecz szkolnictwa. Na przykład moje biuro projektowe przewidywało

w swych rocznych budżetach przeznaczanie 0,5 procenta zysku na rzecz określonej szkoły podstawowej, będącej, jak to się mówiło, naszą szkołą podopieczną. Moim staniem na trzy, czy cztery lata, taką szkołą podopieczną została szkoła nr 19 przy ul. Młaskotów, do której chodzili moi synowie. Przez ten okres czasu Krakowskie Biuro Projektowe świadczyło na jej rzecz różne prace projektowe i kwoty pieniężne. Między innymi opracowaliśmy projekt oświetlenia boiska i w ogóle całego terenu działki szkolnej, a ja osobiście wykonałem projekt rekonstrukcji tarasu ze schodami oraz modernizacji kuchni wraz z małą windą towarową z poziomu piwnic na parter.

Również moja żona nabrała ochoty do nauki. Począwszy od jesieni 1969 r. stała się aktywną uczestniczką Instytutu Francuskiego przy ul. Św. Jana w Krakowie, do którego chodziła na różne wykłady, wystawy i kurs języka francuskiego. Ta nauka francuskiego i kontakty z Instytutem trwały kilka lat, bywało, że chodziła do Instytutu razem z Maćkiem.

W pewną wrześnieową słoneczną niedzielę, po raz drugi po kilku latach, zaimprovizowaliśmy całodzienny wyjazd do Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie na Górnym Śląsku. Nie zawiedliśmy się, znów przeżyliśmy dzień pełen wrażeń i przeróżnych niespodzianek. Przede wszystkim na terenach parku odbywały się wielkie targi i wystawa kwiatów. Szczególnie pięknie prezentowała się ona z góry, z krzesełek kolejki linowej. Zwiedziliśmy tereny sportów wodnych, byliśmy w obrotowej kawiarence, pływającej po jeziorze. Chłopcy oglądali i zwiedzali różne samoloty, oraz jeździli na licznych karuzelach w miasteczku rozrywki. Zwiedziliśmy też centrum Katowic, gdzie kończyła się już budowa gigantycznej hali sportowo-widowskowej, tak zwanego "spodka katowickiego".

Na jesieni 1969 r. miałem dodatkowo swój własny, średniej wielkości, temat do opracowania. Był nim Dom Wypoczynkowo-sanatoryjny "Energetyk" w Krynicy. Temat został podrzucony do pracowni PW-2 przez dyrektora biura w II kwartale. Była już wtedy opracowana częściowo faza wstępna dokumentacji, ale została ona formalnie przerwana, gdyż inwestor spóźnił się z dostarczeniem dokumentacji geologiczno-inżynierskiej. Lecz, co gorsza, projektant architekt wyemigrował niespodziewanie do Stanów Zjednoczonych.

Trzeba było znów ratować firmę i w pierwszym rzędzie jak najszybciej ukończyć fazę wstępną projektu oraz uzyskać jej zatwierdzenie. Rad nie rad, sam podjąłem się tych prac, gdyż wszyscy inni koledzy architekci w PW-2 mieli swe własne, terminowe projekty. Skontaktowałem się z inwestorem, którym był Zakład Energetyczny w Krakowie, przeprowadziłem wizję lokalną działki budowlanej w Krynicy, przestudiowałem posiadane materiały wyjściowe i zabrałem się do roboty.

Było kilka niebagatelnych trudności: szczupłość działki, istniejąca zabudowa w bezpośrednim sąsiedztwie, usytuowanie budynku na stoku o spadku 7 m na długości 25 m. Na szczęście podłoże gruntowe było zwarte, częściowo skaliste, więc wykopy mogły być prawie pionowe, a ławy fundamentowe wąskie. Żeby budynek się nie obsunął, zakotwiłem fundamenty krótkimi, zbrojonymi studzienkami betonowymi, które spełniały rolę jakby pazurów wbitych w skałę. Cały kompleksowy projekt wstępny był gotowy po dwóch miesiącach, przesłałem go do uzgodnień, a sam niedługo potem pojechałem na wczasy do Białki Tatrzańskiej.

Po powrocie zabrałem się do wykonania projektu techniczno-roboczego. Znów, podobnie jak przy SDH "Jubilat", prawie wszystkie architektoniczne rysunki wykonywałem sam, przy niewielkiej pomocy asystentów. Pewne problemy miałem z wyposażeniem i rozplanowaniem pomieszczeń, służących do leczenia sanatoryjnego. Musiałem w tym zakresie konsultować się z przyszłym użytkownikiem Sanatorium. Inne pomieszczenia funkcjonalne i techniczne, jak kotłownia gazowa, pralnia, kuchnia z zapleczem, stanowiły mą specjalność projektową. Obiekt nie był duży, miał 8.120 m³ kubatury, 5

kondygnacji naziemnych i dwie piwniczne. To też cały projekt techniczny, wraz z wszystkimi branżami projektowymi opracowany został przed końcem roku.

Zgodnie z praktykowaną przeze mnie, jeszcze od czasów kawalerskich, zasadą korzystania z dwóch 2-tygodniowych urlopów w ciągu roku, w lutym 1970 pojechałem znow, wraz z całą swą rodziną, na wczasy w Karkonosze, do "nieśmiertelnej" Szklarskiej Poręby Górnej. Panowały tam wtedy mrozy i było wszędzie dużo śniegu, więc już w pierwszym dniu pobytu wypożyczyliśmy w domu wypoczynkowym duże sanki. Były one potem intensywnie przez synów eksploatowane. Zabieraliśmy je też na różne piesze wycieczki, w konsekwencji chłopcy nie raz "kazali" się nimi wozić.



Naturalnie pojechaliśmy też wyciągiem krzesełkowym na Szrenicę, Podobnie jak 5 lat wcześniej na górze panował siarczysty mróz i zadymka śnieżna, mimo słonecznej pogody. Ale tym razem, brnąc po zaspach śnieżnych, przeszliśmy w czwórkę całą trasę od górnej stacji kolejki do spalonego schroniska. Byliśmy do tego dobrze przygotowani. Ja i Kasia mieliśmy, bardzo wówczas modne, kozuchy, niedawno wykonane na obstalunek w Zakopanem. Zaś chłopcy ubrani byli w ciepłe kurtki z podpinkami i kołnierzami futrzanymi.

Na Szrenicy biało i mroźno

W pierwszym półroczu 1970 roku w pracowni PW-2 kończyliśmy już opracowywanie dużych tematów baz przemysłowo-składowych w Płaszowie, biurowiec dla "Semperitu" i kilka innych kontynuowanych z roku poprzedniego. Ja wykonywałem, wraz z ze swym zespołem, adaptacje projektów typowych dwu rejonowych przychodni lekarskich na osiedlu "F" w Bieńczycach i przy ul. Nowogrzegórzeckiej w Krakowie. Były one identyczne, każda miała po 6.000 m³ kubatury.

W dniu 23 czerwca Maciek ukończył trzecią klasę podstawową, Grzesiek pierwszą, pobrali świadectwa i jeszcze w tymże miesiącu pojechali na zasłużone, kolejne wakacje do dziadków. Odwiozła ich Kasia zatrzymując się w Kępnie tylko na dwa dni, gdyż nie brała urlopu w pracy.

Rodzice wiosną przeprowadzili pewne prace remontowe w swym mieszkaniu. Przebudowali w kuchni duży piec kaflowy, z aneksem chlebowym, na mniejszy, mieszkanie zostało odmalowane. Ponad to ojciec dobudował przed głównym wejściem, od strony podwórka, murowaną werandę w miejsce dotychczasowej drewnianej, która została rozebrana. Pomagał mu w tych robotach wnuk Janusz, który przyjechał na krótko do dziadków po uzyskaniu matury, dzięki zdaniu zaległego egzaminu z języka polskiego.

Już w czasie bytności Kasi w Kępnie, ojca poboлеwał brzuch. Po jej wyjeździe, gdy bóle te się nasiliły, mama wezwała karetkę pogotowia, która zabrała go do szpitala powiatowego w Kępnie. Tam zatrzymano go na obserwacji i badaniach szczegółowych. Wykazały one jednoznacznie, że ojciec mój ma nowotwór złośliwy jelit. Informację tę jednak chyba początkowo zatajono, zarówno przed ojcem, jak i rodziną, próbując w warunkach szpitalnych łagodzić bóle środkami farmakologicznymi.

W połowie lipca do Kępna przyjechała moja siostra Halina z synem Januszem, miała wcześniej własne problemy zdrowotne, lecząc się po wylewie krwi do mózgu. Po kilku dniach obydwójce udali się nad morze, gdzie przebywali już w wczasach szwagier z Grażyną. Moi chłopcy przez pewien czas byli więc sami z babcią. Odwiedzali dziadka w szpitalu, jeździli na rowerach, bawili się w ogrodzie, a babcia, jak zwykle, dogadzała

im, gotując pierogi, smaczkowe zupy jarzynowe, kompoty z wiśni itp.

Ponieważ miałem ze swą rodziną jechać w sierpniu na wczasy zagraniczne, mama napisała list, bym jeszcze w lipcu przyjechał "pożegnać się z ojcem". Pojechałem więc do Kępna i odwiedziliśmy ojca w szpitalu. Miał tam raczej dobre warunki bytowania i opiekę lekarską. Nieco schudł, spacerował, miał nadzieję, że choroba wkrótce minie i będzie mógł powrócić do domu. Życzyłem mu tego z całego serca, a on przyjemnego urlopu w Rumunii.



Przed wyjazdem na wczasy do Rumunii

Przed wyjazdem na wczasy do Rumunii popularne niż wyjazdy nad polski Bałtyk. Zwłaszcza, że gwarantowały zwykle słoneczną pogodę i często były tańsze od wczasów krajowych. Również moja rodzina zapisała się do tego "klubu czarnomorskich amatorów" i korzystając z pomocy spółdzielczego biura turystycznego "Turysta" w sierpniu 1970 r. wybraliśmy się na kolejową wycieczkę "Góry - morze" do Rumunii, na naszą pierwszą, wspólną, inauguracyjną wycieczkę zagraniczną.

Podstawowa grupa kilkudziesięciu uczestników wycieczki wyjeżdżała z Warszawy. My, w ramach 11-osobowej grupy krakowskiej, mieliśmy dołączyć do nich podczas postoju pociągu w Katowicach. Bez niespodzianek spotkaliśmy się na peronie, ja miałem zbiorowy paszport i dewizy, a właściciel czeku NBP na podjęcie 4.370 rumuńskich lei w Braszowie, na "kieszonkowe" dla całej krakowskiej grupy. Wszystko zapowiadało się dobrze, gdyby nie potworny tłok w pociągu, który przyjechał zresztą ze sporym opóźnieniem, i szturm do niego nowych pasażerów, gdyż Polacy jeździli wówczas masowo na popularny handel do Budapesztu.

Nie było szans na odszukanie pilota wycieczki i naszego wagonu sypialnego, w którym mieliśmy zarezerwowane miejsca. Każdy wsiadał, gdzie się dało i dopiero na stacji granicznej w Zebrzydowicach, przy dłuższym postoju, pozbialiśmy się wszyscy we właściwym wagonie. Moja rodzina otrzymała separatkę z trzema łózkami. Chłopcy od razu wdrapali się na najwyższe i spali już kamiennym snem, gdy około godziny drugiej w nocy 2 sierpnia pociąg Nord Orient Express ruszał z Polski w swą drogę przez Czechosłowację i Węgry do Rumunii.

Na dosyć długo pociąg zatrzymał się na dworcu centralnym w Budapeszcie. Był upalny ranek, więc jedna z uczestniczek naszej wycieczki wyszła na peron, by coś kupić do picia, wtedy niespodziewanie pociąg odjechał. Widzieliśmy tylko z daleka, jak pechowca kobieta machała rękoma na peronie. Jakims sposobem kilka dni później dołączyła jednak do wycieczki.

Pierwsze miasto rumuńskie, jakie zobaczyłem z okien wagonu, to była ponad stu-tysięczna Oradea. Nie zauważyłem przedmieść, niskiej zabudowy na obrzeżu miasta, tak charakterystycznej dla miast polskich. Na horyzoncie pokazała się od razu zwarta zabudowa wielokondygnacyjnych budynków mieszkalnych, wszystkie białe, połyskujące w oślepiającym słońcu, o dobrej architekturze.

Przez pół dnia jechaliśmy przez historyczny Siedmiogród: góry, bezkresne lasy,

niedużo i bardzo mało zabudowy. W ogóle o krajobrazie rumuńskim można powiedzieć, że jest bardzo jednolity. Jak las to tylko las, jak pole to bez końca, jak wieś, czy miasto to ściśnięte, skupione w jednym miejscu. W przeciwieństwie do krajobrazu polskiego, w którym wszystko jest malowniczo i chaotycznie wymieszane. Gdy się jedzie np. drogą z Krakowa do Zakopanego, to z każdego jej punktu można zaobserwować jakieś domy, gospodarstwa. Jadąc przez Siedmiogród przez całe kwadransy nie widziałem żadnych zabudowań. Gdy zaś trafiła się jakaś wieś, to duża, wyraźnie zarysowana i zwarta.

Pierwszym naszym miejscem postojowym był Predeal, nieduże górskie uzdrowisko u podnóża Wschodnich Karpat. Przyjechaliśmy do niego dokładnie po 24 godzinach jazdy pociągiem, licząc od startu w Zembrzydowicach. W eleganckim hotelu, położonym niedaleko lokalnego dworca kolejowego, otrzymaliśmy duży wygodny pokój i od razu, nie rozpakowując się nawet, położyliśmy się spać, bo było już po godzinie drugiej w nocy.

Pierwszy dzień pobytu w Predealu poświęcony został na zwiedzanie miejscowości i okolicy. Miasto wyraźnie dzieliło się na dwie części: starą zabudowę z niskimi domami mieszkalnymi, pokrytymi dachówką ceramiczną na prawie płaskich dachach i nowszą z szeregiem dużych hoteli, o niewielej orientальной architekturze. Jakby klamrą, spinającą te dwie części miasta, był nowoczesny dworzec kolejowy i wielofunkcyjny pawilon handlowo-usługowy. Szczególnie dworzec był bardzo atrakcyjny architektonicznie: dach łupinowy, sferyczny, bardzo duże przeszklenia, ogródek kwiatowy i palmy na antresolach głównej hali dworcowej. Co dziennie chodziliśmy potem też do starego Predealu. Tam był duży jarmark, na którym kupowaliśmy kawony, w jakich moi chłopcy bardzo zasmakowali.



Hotel w Predeal



Muzeum sztuki feudalnej w Sinaia

go w miastach rumuńskich nie ma instalacji kanalizacji deszczowej. Po prostu, przy tak ekstremalnych opadach, nie mogła by ona spełniać swej roli. Więc z góry zakłada się, że woda spływać musi ulicami, przy których stosuje się wysokie krawężniki, odpowiednie spadki itp.

Na trzeci dzień zawieziono nas do sąsiedniej miejscowości turystycznej Pojana-Braszw. Tam zjedliśmy obiad w wielkiej oryginalnej restauracji-szopie. Serwowano nam, nie znane mi wcześniej, różne pikantne rumuńskie specjalności kulinarne. Jeszcze tego dnia na własną rękę, pojechaliśmy, w czwórkę, kolejką krzeselkową na sąsiednią

górze o wysokości ok. 1800 m n.p.m. Mogliśmy podziwiać rozległe widoki doliny, prowadzącej do Braszowa, widoczne też były odleglejsze szczyty Karpat Wschodnich, przekraczające wysokość 2500 m n.p.m., jak polskie Tatry.

W ostatnim dniu pobytu w górach rumuńskich, pojechaliśmy autokarem do najbliższego dużego, prawie 200-tysięcznego miasta Braszowa. Zwiedzaliśmy głównie zabytkowe dzielnice. Prawie z centrum miasta można wyjechać kolejką łańcuchową na pobliską górę, gdzie był superluksusowy hotel i skąd rozciągał się widok na całe miasto. Wieczorem, w ramach programu wycieczki, byliśmy gośćmi we wielkiej winiarni. Umieszczona ona była w kilku dużych sklepionych pomieszczeniach piwnicznych, z których część wypełniały wielkie drewniane kufy i tysiące butelek z leżakującym winem, a część służyła na sale konsumpcyjne. Ścisłej do degustacji różnych gatunków win, które roznosili kelnerzy, ubrani w regionalne stroje rumuńskie.

Na ławach przy stołach, zbitych z grubych desek, było tłoczno od różnych nacji, wśród których dominowali Niemcy, Rosjanie, Czesi i Polacy. Kto zaczął, poznać można było po śpiewach. Odbывał się bowiem swoisty konkurs pieśni narodowych. Chyba Polacy wypadli najlepiej (najgłośniej) i dostaliśmy huczne brawa. Moi synowie snuli się po sali, wymieniając odznaki z Rosjanami, wszędzie częstowano ich winem i gdy biesiada winna o północy dobiegła końca, musiałem ich na rękach wynosić do autokaru, bo spili się, jak dwa zajęczki.

W dniu 9 sierpnia pożegnaliśmy się z rumuńskimi górami i pojechaliśmy pociągiem pośpiesznym do Bukaresztu, odległego o 130 kilometrów. Cały skład pociągu złożony był z polskich wagonów osobowych od "Cegielskiego". Potem jeszcze nie raz widywałem te wagony w Rumunii, a także w Bułgarii. Natomiast Rumuni mieli bardzo dobre własne elektryki, które z kolei eksportowali, również do Polski. Produkowane one były w Braszowie.



Zwiedzanie Bukaresztu

Zatrzymaliśmy się w hotelu w centrum miasta na jeden tylko nocleg. Bukareszt w ogóle był tylko jednodniowym przerywnikiem w naszej wycieczce między górami i morzem. Zwiedziliśmy to wielkie, półtora milionowe miasto, według amerykańskiej recepty, to znaczy z okien autokaru, na zasadzie: na lewo teatr operowy, na prawo największe centrum prasowe, w głębi nowa dzielnica mieszkaniowa, przed nami monastyr z XVII wieku, dzielnica rządowa, uniwersytet, cyrk z łupinową konstrukcją dachu, budynki odbudowane po trzęsieniu ziemi sprzed 10 lat. itp.

Bukareszt jest pięknym, nowoczesnym miastem, o swoistym charakterze. Porównywalny w znacznym stopniu z Budapesztem, Rzymem (bez części historycznej), XIX-wiecznymi dzielnicami Paryża. Gdyby oceniać stolice europejskie według nowoczesności ich architektury, Budapeszt lat siedemdziesiątych chyba z dużym powodzeniem mógłby ubiegać się o jedno z pierwszych miejsc.

Mieliśmy tylko 3-4 godziny do własnej dyspozycji, gdy autokar zatrzymał się w rejonie opery. Urwałem się z żoną i synami od reszty wycieczkowiczów i powąłęsałem się po najbliższych ulicach, racząc się też lodami dla ochłody, bo panował 30-stopniowy upał. Znów podobnie, jak kiedyś w Pradze Czeskiej zaobserwowałem, że Bukareszt w godzinach południowych jest prawie całkowicie wyludniony. Oczywiście tego powodem były niewątpliwie upały, ale również i to, że mieszkańcy miasta w tym czasie normalnie pracowali w swych zakładach pracy, urzędach, na uczelniach itd. Za to w godzinach wieczornych na chodnikach ulic, pla-

cach, skwerach i w parkach kłębiły się tłumy ludzi.

Po jednodobowym pobycie w stolicy pojechaliśmy wszyscy, znów pociągiem, w kierunku Konstancy i Mangalii nad Morzem Czarnym. Po prawej stronie torów kolejowych na znacznej długości prowadzone były wówczas olbrzymie roboty ziemne przy budowie kanału żeglugowego Dunaj-Morze Czarne, o długości ponad 60 kilometrów. Skrócił on przewóz towarów na morze o około 250 km i pozwolił na ominięcie w żegludze rozlewisk wielkiej delty Dunaju.

Do hotelu w Mangalii dojechaliśmy autokarem późnym wieczorem, gdy było już zupełnie ciemno. To też dopiero po udaniu się do pokoi, które nam przydzielono i otwarciu okien, zorientowaliśmy się, że jest on położony tuż nad brzegiem morza. Nie widzieliśmy go wprawdzie, ale czuliśmy jego ostry, rześki zapach i słyszeliśmy głośny szum fal.

Nazajutrz wstaliśmy z Kasią skoro świt i przeszliśmy boso kilkaset metrów wzdłuż piaszczystej plaży, mocząc nogi w ciepłych falach wody, napływającej spienionymi grzywami. Woda była przeźroczysta i miała charakterystyczny zielonkawy odcień. Wkrótce na plaży pojawiło się więcej uczestników naszej wycieczki, niektórzy po raz pierwszy byli nad morzem i nie widzieli jeszcze takiego bezkresu wody.

Nasz hotel "Kometą" miał 9 pięter i ponad 240 pokoi dwuosobowych, chyba byliśmy pierwszymi jego użytkownikami, gdyż na parterze trwały jeszcze jakieś prace wykończeniowe. Podobnie błyszczały nowością inne hotele, których w ośrodku wypoczynkowym Mangalia Jupiter, w którym zamieszkaliśmy, było kilkadziesiąt: mniejszych, większych, o bardzo różnorodnej i świetnej, nowoczesnej architekturze, często z akcentami tradycyjnej architektury wschodnio-bizantyjskiej.

W ogóle zabudowa ośrodka była bardzo urozmaicona. Było wiele restauracji, barów, pawilonów handlowych, koloni bungalów rodzinnych, ekskluzywnych basenów kąpielowych, kino na świeżym powietrzu, tereny do golfa, koszykówki, siatkówki, a w czasie naszego pobytu uruchomiony został spory, piętrowy dom towarowy. Wszystko to powiązane asfaltowymi drogami i alejami spacerowymi, wśród bogatej roślinności i rozciągnięte wzdłuż kilkukilometrowej plaży.



Grześ ochoczo pozuje do zdjęć w Mangalii

Pierwsze pół dnia pobytu przeznaczaliśmy na pobieżne zwiedzenie uzdrowiska. Natomiast zaraz po obiedzie zalegliśmy na plaży naprzeciwko naszego hotelu. Było upalnie, termometr na zacienionej ścianie hotelu wskazywał nieodmiennie temperaturę ponad 30 stopni C. Nie czuło się tego gorąca, gdyż od morza napływał rześki, chłodzący wiatr. Trzeba było jednakże uważać i chronić się przed nadmiarem słońca, więc częściowo plażowicze chowali się pod wielkimi parasolami. Tych metod ochronnych nie przestrzegali nasi obaj chłopcy. Biegali po plaży, pluskali się i pływali w morzu, bawiąc się dużą wodną piłką. Mieli do dyspozycji nadmuchiwane koła gumowe i materac, więc zapuszczali się nawet kilkanaście metrów w głąb morza. Wzdłuż naszej plaży było ono płytkie i boje, wyznaczające teren dozwolony do kąpieli, znajdowały się w odległości ponad stu metrów od brzegu.

W kolejny dzień cała polska grupa wycieczkowa pojechała autokarem w pierw do pobliskiej Mangalii, potem do największego na rumuńskim wybrzeżu miasta Konstancy. Mangalia to nieduże miasto, wyraźnie składające się z dwu części: starej, można powiedzieć "przedwojennej", zamieszkałej przez kilkanaście tysięcy stałych mieszkańców i

nowej, zabudowanej prawie wyłącznie hotelami turystycznymi. W starej Mangalii budowano w tym czasie duży nowy port handlowy. Nowa dzielnica hotelowa była podobna do swych, nieco dalej położonych, jeszcze młodszych kurortów-siostrzyc: Saturn, Wenus, Jupiter i Neptun.



W Konstancy zwiedziliśmy głównie zabytkową dzielnicę, secesyjne kasyno gry, a z galerii wysokiego minaretu oglądaliśmy panoramę całego miasta. W starej Mangalii byliśmy później jeszcze raz sami z naszymi chłopcami, gdyż znajdowało się tam wesołe miasteczko. Z jego atrakcji karuzelowych korzystałem na równi z Maćkiem i Grzesiem. Stołowaliśmy się w pobliskim dużym pawilonie restauracyjnym, posiadającym chyba ponad dwieście miejsc konsumpcyjnych. Obsługiwał on, na dwie czy nawet trzy zmiany, kilka najbliższych hoteli. Był to więc spory kombinat żywieniowy. Karmiono nas bardzo dobrze, na obiady zawsze było jakieś mięso, zwykle befsztykopodobne, lub czarnomorskie ryby, nieco frytek ziemniaczanych i dużo warzyw, wśród których królowały pomidory. Na deser prócz wina, serwowano najczęściej także brzoskwinie lub winogrona. Gotowe dania podawały liczne młode kelnerki, były wśród nich i Polki na praktykach gastronomicznych.

W starej Konstancy

Kolacje kilka razy zakończyły się występami artystycznymi i zbiorowymi zabawami. Wyglądało to w ten sposób, że w pewnym momencie znikwały kelnereczki, pojawiała się natomiast orkiestra, a za chwilę zespoły dziewczęce w rumuńskich strojach ludowych zaczynały śpiewać i tańczyć. Były to nasze kelnerki, które przedzierzgnęły się na zapleczu w personel artystyczny. Wczasowicze również brali udział w śpiewach i tańcach, a najbardziej podobał mi się taniec z chusteczkami, być może dlatego, że też wziąłem w nim udział. Polegał na tym, że dziewczyna z zespołu podchodziła do wybranego przez nią partnera na sali, podawała mu kolorową chustkę i wciągała na parkiet. Na tej chusteczce oboje klękali i całowali się w usta, przy muzyce i aplauzie gości.

W wielu miejscach, w publikacjach, na plakatach, w sklepach, widziało się napisy "Litoral", czyli przybrzeżny, wybrzeże. Intrygowało mnie to, gdyż oczywiście języka rumuńskiego nie znałem. Dopiero kierowniczka naszej stołówki wytłumaczyła mi, że jest to nazwa wielkiego państwowego koncernu turystycznego, działającego na wybrzeżu rumuńskim. Zajmował się on budową i użytkowaniem wszystkich hoteli i domów wypoczynkowych, a także całą infrastrukturą z nimi związaną. To znaczy zajmował się też prowadzeniem sklepów, wszelkiej działalności artystycznej, a także wyżywieniem turystów. W tym celu posiadał nawet wielkie gospodarstwa rolne i zakłady, produkujące sprzęt i pamiątki turystyczne itp.

Pytałem też co się dzieje z ludźmi, którzy zatrudnieni są w tych setkach hoteli nadmorskich, po zakończeniu letniego sezonu turystycznego. Odpowiedziała, że niektórzy wracają do swych miejsc zamieszkania w głąbi kraju. Natomiast liczną rzeszę, zwłaszcza miejscowych, kucharek, sprzątaczek i kelnerek Krajowe Biuro Turystyki "Litoral" zatrudniało na miejscu w specjalnych zakładach, produkujących głównie pamiątki turystyczne, jak figurki i lalki w strojach ludowych, okręciki, rzeźbione talerzyki i pudełeczka, malowane dzbanuszki itp., które potem w sklepach koncernu sprzedawane były turystom. Rzeczywiście centralizacja gospodarcza i zarządzania absolutna. Może dlatego te wczasy nad rumuńskim morzem, mimo stosunkowo wysokiego komfortu, były właściwie bardzo tanie.

Przez cały okres pobytu nad Morzem Czarnym towarzyszyła nam piękna, słoneczna pogoda i nie spadła w tym czasie ani jedna kropla deszczu. Ale wszystko ma swój koniec, wieczorem 16 sierpnia pożegnaliśmy błękitne Morze Czarne i w sypialnym wagonie pociągu Nord Orient Express udaliśmy się w drogę powrotną do Polski. Do Krakowa przyjechaliśmy wczesnym rankiem 18 sierpnia.

W biurze, jak zwykle po dłuższej nieobecności, musiałem przez pierwsze kilka dni pilnie załatwiać zaległą korespondencję i sprawy, związane z umowami na nowe prace projektowe oraz w ogóle zająć się koordynacją prac wszystkich zespołów i pracowników, którzy wrócili do pracy po zasłużonych miesięcznych urlopach wypoczynkowych. W Krakowie czekała nas także miła niespodzianka. Wreszcie otrzymaliśmy przydział telefonu domowego, o który od lat się staraliśmy. Były z tym kłopoty, gdyż w naszym rejonie zamieszkania brak było wolnych łącz.

Zadzwońłem też niezwłocznie do siostry we Wrocławiu, by dowiedzieć się co z ojcem i jego chorobą. Niestety nie było żadnej poprawy, a wręcz odwrotnie, choroba robiła co raz większe spustoszenie w organizmie ojca. Dokładniejszą relację otrzymałem od mej mamy, która wiedząc, kiedy wracamy z Rumunii, wyprzedzająco napisała list do mnie. Od 10 sierpnia ojciec opuścił szpitala i leżał w domu. Schudł bardzo, zażywał leki przeciwbólowe, także na nerki, serce, ale jak pisała mama "żeby nie ten nowotwór jelit, to by jeszcze żył, a żył". Często do Kępna przyjeżdżały na kilka dni moja siostra i jej córka Grażyna., wspomagając mamę w pracach domowych i opiece nad ojcem.

Ja pojechałem do Kępna z początkiem września, po kolejnym liście mamy, że nastąpiło dalsze pogorszenie zdrowia ojca. Faktycznie od momentu, gdy widziałem go w szpitalu przed naszym wyjazdem do Rumunii, ojciec schudł jeszcze bardziej, zszarzał, bardzo cierpiał, chwilami tracił przytomność. Nie mogłem mu w niczym pomóc i po dwóch dniach wróciłem do Krakowa.

Ojciec zmarł 18 września. Pogrzeb odbył się już po dwóch dniach, gdyż była to niedziela. Uczestniczyło w nim kilkaset osób, w tym bardzo liczna rodzina i krewni bliżsi i dalsi, znajomi i współpracownicy z Urzędu Miejskiego Kępna, koledzy i członkowie Związku Powstańców Wielkopolskich, wreszcie sąsiedzi i mieszkańcy miasta. Gdy orszak pogrzebowy przechodził przez Rynek miasta, to nie było widać jego końca. Czoło pochodu pogrzebowego stanowił poczet sztandarowy trzech byłych powstańców wielkopolskich w swych mundurach wojskowych, przepasanych czarnymi szarfami. Za nimi kierownik Związku Kombatanów niósł na poduszeczce liczne krzyże i odznaczenia ojca.

Potem kroczyły oficjalne delegacje władz i organizacji miejskich. Ja szedłem wraz z mamą bezpośrednio za czarną, ozdobną platformą konną, na której spoczywała trumna, niewidoczna zresztą spod kwiatnych wieńców. Za nami szli siostra wraz ze swym mężem i Kasią, następnie czworo wnuków, to jest Grażyna, Janusz, Maciek i Grzesiek. Po nich w kilkudziesięciuosobowej grupie liczni moi wujowie i kuzyni ze swymi rodzinami. Po celebracji księdza i oficjalnych przemówieniach, przy pochylonych sztandarach, trumna z ojcem spoczęła w grobie na cmentarzu kępińskim.



Ojciec 1968



Złożenie trumny do grobowca

Po pogrzebie odbyła się w domu rodziców wielka stypa dla członków rodziny zmarłego. W Poznańskim stypy tradycyjnie mają duże znaczenie i bogatą oprawę. Oczywiście jej przygotowaniem i urządzeniem zajmowały się głównie bratanice mego ojca, tak że moja mama była od tych zajęć zwolniona, chyba zresztą nie byłaby w stanie przygotować tak wielkiego przyjęcia na kilkudziesięć osób. Byli prawie wszyscy żyjący członkowie rodziny mego ojca. Ja osobiście miałem wielką okazję do porozmawiania z mymi wujami, ciotkami i kuzynostwem z Kuźnicy Bobrowskiej i Bobrownik, do których jako dziecko jeździłem na letnie wakacje.

Te wsie i gospodarstwa mych wujów, które dobrze zapamiętałem z lat przedwojennych, uległy dużej metamorfozie. Przede wszystkim gospodarstwa rolnicze mych wujów zostały unowocześnione. Konie i bryczki zastąpione zostały przez traktory i samochody, kosy i młocarnie przez kombajny zbożowe, obornik i gnojówka przez nawozy sztuczne, a przydomowe kurniki i chlewnie zamieniły się w farmy drobiu i hodowlane. Tak więc w Poznańskim pracowitość ludzka pospółu z techniką i maszynami przeobraziły gruntownie rolnictwo wielkopolskie. Dotyczyło to przynajmniej moich wujów, którzy już przed wojną mieli wyróżniające się gospodarstwa. Chwalili się tym wszystkim podczas stypy i zapraszali do odwiedzenia. Tak się jednakże złożyło, że nigdy potem nie miałem na to czasu.

W połowie 1970 r. zawarty został pomiędzy Polską i Irakiem duży kontrakt na budowę koło Mosulu wielkiej kopalni siarki. Miała być w niej zastosowana oryginalna polska technologia wytapiania siarki ze złoża pod ziemią, wprowadzona po raz pierwszy kilka lat wcześniej w Machowie koło Tarnobrzegu. Wykonawcą robót zostało specjalizowane przedsiębiorstwo budownictwa przemysłowego "Hydrokop" z Krakowa. Kontrakt przewidywał również opracowanie dokumentacji projektowej na budowę nowego miasta dla pracowników kopalni, którego realizacja miała być prowadzona potem przez Irakijczyków już we własnym zakresie. Jej wykonanie "Hydrokop" podzlecił do naszego biura projektowego. Zlecenie to trafiło w październiku na moje biurko, z czego byłem bardzo rad z wielu powodów. Po pierwsze można się było spodziewać, że te prace eksportowe będą bardzo korzystne finansowo. Po drugie pracownia miała akurat, jak to się mówiło, wolne "moce przerobowe" i mogliśmy od razu przystąpić do realizacji zlecenia. A po trzecie lubiłem takie nietypowe tematy projektowe, tym razem temat był pasjonujący również pod względem organizacyjnym.

Faktycznie już na samym starcie zaczęło się bardzo nietypowo. Jako materiały podkładowe otrzymaliśmy tylko warstwicowy plan sytuacyjny w skali 1:5000. W takiej skali nie da się projektować, więc najprostszymi metodami, przy pomocy pantografu, powiększyliśmy szybko plan do skali 1:1000. Możliwe to było, gdyż na całym terenie przyszłego miasta nie było żadnych zabudowań, dróg, a nawet nic tam nie rośło. Bo- wiem zostało ono, podobnie jak i sama kopalnia, usytuowane na bezludnej kamiennej pustyni nad rzeką Tygrys. Więc dokładność podkładów nie miała większego znaczenia.

Podobnie program inwestycyjny, jaki nam dostarczono, był niezwykle lakoniczny. Określał jedynie, że należy zaprojektować budynki: administracji miasta, poczty i banku, policji, szkołę podstawową, supermarket, dom kultury, dom technika oraz rodzinne domy mieszkalne dla 3,5 tysiąca mieszkańców, z możliwością rozbudowy miasta do 7 tysięcy. A także całą infrastrukturę techniczną miasteczka, więc: sieć uliczną, kanalizację, wodociągi i sieci energetyczne wraz z ujęciem wody pitnej, oczyszczalnią ścieków, stacjami transformatorowymi i wielokilometrową linią zasilającą wysokiego napięcia.

Projektowane obiekty miały być realizowane z użyciem miejscowych materiałów budowlanych i miały posiadać wystrój architektoniczny zgodny z kanonami tradycyjnej architektury islamskiej. Ale nikt nas nie informował, jakie to są te miejscowe materiały i

kanony architektoniczne. Wiadomy był natomiast, i ściśle określony, termin 30 czerwca 1971 r., w jakim cała dokumentacja techniczno-robocza na budowę miasta Mishraq miała być dostarczona do Bagdadu.

Zaczęliśmy od sformułowania zespołu projektowego, którego trzon stanowiło pięciu głównych projektantów. W tym trzech architektów: A. Ścigalski, który opracować miał urbanistykę i budynki mieszkalne oraz D. Mazurowa i H. Malinowska, które podzieliły się budynkami użyteczności publicznej. Opracowania projektów instalacji i uzbrojenia sanitarnego podjął się R. Flisowski, zaś wszystkich instalacji i sieci elektroenergetycznych A. Schiller.

Od razu ustaliliśmy i uzgodniliśmy z naszym zleceniodawcą tj. "Hydrokopem", a oni ze stroną iracką, że w ciągu jednego miesiąca przygotujemy w kraju szkice i zarys wstępnej fazy projektowej dla poszczególnych obiektów i całego miasta. Dokończenie tego wstępnego projektu miało nastąpić już w Bagdadzie, w ciągu dalszych dwu miesięcy, przez zespół pięciu głównych projektantów. Mieli oni oczywiście przeprowadzić także wszystkie niezbędne uzgodnienia z inwestorem irackim w zakresie zastosowanych materiałów i technologii budowlanych, formy i zakresu opracowania projektów techniczno-roboczych, a także uzyskać od niego formalne zatwierdzenie fazy wstępnej dokumentacji, jako podstawy do opracowania dokumentacji realizacyjnej.

Przy tak pomyślanym terminarzu prac, na opracowanie dokumentacji technicznej mieliśmy tylko 4 miesiące czasu. W tej sytuacji branżowe pracownie biura, drogowa i uzbrojenia terenu, mimo odmówiły, wprost odmówiły, mimo interwencji dyrektora, podjęcia się opracowania projektów dróg i ulic oraz ujęcia wody i oczyszczalni ścieków. Acz z trudem, udało mi się jednak ulokować te tematy w Biurze Projektów Budown. Komunalnego.

Rzeczywiście przyjęliśmy szaleńczy harmonogram prac, zwłaszcza, że startowaliśmy, praktycznie biorąc, od zera. Architekci zaczęli od poszukiwania książek, traktujących o architekturze islamskiej, a ja zacząłem tak układać wszystkie prace w pracowni, by możliwe było, w odpowiednim momencie, włączenie do prac w fazie technicznej naszego eksportowego tematu jak największy "potencjał" projektowy PW-2. Mimo wszelkich problemów pierwszy punkt naszego "eksportowego" harmonogramu prac zrealizowany został terminowo i jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia 5-osobowy zespół projektantki poleciał samolotem via Bejrut do Bagdadu. Według propozycji "Hydrokopu" miałem pojechać również i ja, jako koordynator i rzecznik biura.

Oczywiście, byłoby to dla mnie bardzo atrakcyjne finansowo, gdyż diety wszystkich delegowanych wypłacano w dolarach amerykańskich, których wartość faktyczna w Polsce kilkakrotnie przewyższała ich oficjalną wartość urzędową. Nie pojechałem jednak, bo oceniłem, że wydelegowani starsi projektanci dadzą sobie doskonale radę ze wszystkimi problemami merytorycznymi i że bardziej potrzebny będę na miejscu, w pracowni, by przygotować ją do fazy technicznej. Poza tym nie znam języka angielskiego, w jakim prowadzone miały być wszystkie rozmowy w Iraku, a posługiwało się nim dobrze aż trzy osoby z delegowanego zespołu.

Kilka dni przed końcem 1970 roku zadzwoniono do mnie z biura turystycznego "Turysta" z informacją, że nastąpiła pomyłka przy obliczeniu kosztu wycieczki do Rumunii i że proszony jestem o przybycie celem uiszczenia dopłaty. Odpowiedziałem, że będę za godzinę. Usiadłem przed miłą, sympatyczną panią, która miała już przygotowane moje rozliczenie i zaczęła mi tłumaczyć, w czym się pomyliła. Przerwałem jej w pół zdania, mówiąc, że jej wierzę, i pytając o jaką kwotę chodzi. Niedopłata wynosiła, licząc dla całej mej rodziny, ponad 800 złotych. Była to spora kwota, ale wyciągnąłem portfel i odliczyłem należność bez słowa.

Po wypisaniu kwitu, znów zaczęła mówić, że błąd wykryto przy rocznym rozliczeniu

firmy i gdybym nie wpłacił, jej potrącono by tę niedopłatę. Znów przerwałem jej podziękowania, mówiąc, że mam do niej prośbę. Mianowicie tak bardzo podobała nam się poprzednia wycieczka, że chcieliśmy i w przyszłym roku skorzystać z usług "Turysty" i poprosiłem o informację, jakie są możliwości. Oczywiście rozdzielnik na rok następny miał być przysyłany dopiero w lutym, więc wdzięczna urzędniczka obiecała solennie, że do mnie wtedy zadzwoni. Tak się też rzeczywiście stało i przez kilka lat mogłem potem wybierać w gorących ofertach wycieczkowych możliwie najatrakcyjniejsze. A trzeba przypomnieć, że, jak to w Polsce Ludowej bywało, popyt na wyjazdy zagraniczne rychło przerósł podaż i trudno było o atrakcyjną wycieczkę oraz nie wszystkim chętnym udało się wojażować zagranicę.

Na polskiej scenie politycznej w 1970 r. zaistniały dwa wydarzenia o dalekosiężnych skutkach. Pierwszym było zawarcie 7 grudnia w Warszawie pomiędzy Polską i Republiką Federalną Niemiec układu o normalizacji wzajemnych stosunków, którego głównym elementem było uznanie polskiej granicy zachodniej, wyznaczonej przez konferencję poczdamską w 1945 r. Był to niewątpliwie sukces osobisty W. Gomułki, który od wielu lat uporczywie zabiegał o doprowadzenie do takiego dwustronnego układu. Dotąd, co nie wszyscy pamiętają, Niemcy Zachodnie, a wraz z nimi wielu polityków mocarstw zachodnich, przy różnych okazjach kwestionowali prawną legalność tych granic

Drugim była próba "uporządkowania rynku" przez podwyżkę w dniu 12 grudnia cen niektórych artykułów spożywczych i przemysłowych. Tu nie było jednak przyzwolenia społecznego, mimo zapowiedzi rekompensat płacowych. Doszło do strajku w Stoczni Gdańskiej, starć z milicją, podpalania kiosków gazetowych i rozbijania sklepów. W następnych dniach strajk rozszerzył się na inne miasta Wybrzeża, a w Gdańsku demonstranci podpalili gmach KW partii. Tam też po raz pierwszy użyte zostało wojsko i padły strzały. Później, w niewyjaśnionych do dziś wydarzeniach przed Stoczną Gdynią, zginęło kilkadziesiąt osób

Dla ratowania sytuacji kierownictwo partii postanowiło poświęcić swego szefa Gomułkę i wybrało nowego w osobie Edwarda Gierka, dotychczasowego I sekretarza PZPR w Katowicach. Cofnął on podwyżkę cenową i zapowiedział szybkie działania na rzecz poprawy poziomu życia społeczeństwa, co uspokoiło sytuację strajkową. Między innymi nastąpiła zmiana na stanowisku premiera rządu, którym został dotychczasowy wicepremier P. Jaroszewicz. Zastąpił on J. Cyrankiewicza, który pełnił funkcję prezesa Rady Ministrów przez 16 lat, ustanawiając w tej dziedzinie rekord europejski.

W pierwszych dniach stycznia 1971 r. odwiedzili nas Janusz i Grażyna z Wrocławia. To już była dorosła młodzież. Zwiedzali Kraków, byliśmy w kilku muzeach. Przed ich powrotnym wyjazdem Janusz otrzymał ode mnie w prezencie adapter, zaś Grażyna od Kasi "walizeczkę ciuszków". Ich mama, a moja siostra Halina, podjęła się od nowego roku nowej pracy w charakterze księgowej w Biurze Konstrucyjnym Przemysłu Leśniczego. Natomiast jej mąż awansował na stanowisko naczelnego dyrektora w oddziale banku, w którym przepracował już około 20 lat.

Nasza iracka ekipa projektowa powróciła z Bagdadu w połowie lutego 1971 r. Narzekali na wysokie temperatury w Iraku, dzielili się wrażeniami ze zwiedzenia kilku miast w tym egzotycznym dla nas kraju i ruin legendarnej Palmiry w Syrii. Ale przede wszystkim zdali relację z prac projektowych, jakie wykonali w Bagdadzie. Ukończyli mianowicie projekt wstępny miasteczka Mishraq i uzyskali jego akceptację przez inwestora oraz przeprowadzili wszelkie niezbędne uzgodnienia do fazy technicznej dokumentacji. Spisali się więc znakomicie i można było przystąpić do trzeciej i ostatniej, ale najbardziej pracochłonnej fazy realizacji naszego eksportowego zlecenia, to jest opracowania pro-

jektów technicznych

W pierwszej kolejności architekci musieli wykonać podkłady projektowe dla branż, które częściowo przygotowali już w Iraku. Podkłady obiektów kubaturowych przekazywane były zespołom projektowym: konstrukcji, instalacji sanitarnych i instalacji elektrycznych, natomiast podkład urbanistyczny projektantom uzbrojenia terenu oraz do Biura Projektów Budownictwa Komunalnego, celem opracowania przez to biuro projektów dróg i ulic, ukształtowania terenu, ujęcia wody pitnej i oczyszczalni ścieków.

W krótkim czasie w prace projektowe przy osiedlu Mishraq wciągnięta została prawie cała pracownia PW-2. Dla wszystkich była to praca nienormowana, wielu pracowało przy swych deskach rysunkowych do późnych godzin wieczornych, wielu przychodziło do pracy w niedziele i nie trzeba było bynajmniej nikogo do tego zwiększonego wysiłku namawiać. Zatrudniłem też dwóch urzędowych tłumaczy z zewnątrz do tłumaczenia tekstów na język angielski. W ostatnich kilku tygodniach dodatkowo trójka studentów anglistyki pracowała dla nas dosłownie nocami, przynosząc rano przetłumaczone opisy techniczne.

Osobiście nie włączałem się bezpośrednio do prac projektowych, dyrygowałem jedynie całą tą projektancką orkiestrą, by nie było przerw i zahamowań w pracy, by zabezpieczyć na właściwy czas niezbędne podkłady, dane i materiały oraz pilną reprodukcję kończonych elementów dokumentacji.

Oczywiście wprowadziliśmy wiele uproszczeń w dokumentacji, które w opracowaniach dla polskich inwestorów byłyby niemożliwe. W projektach wewnętrznych instalacji sanitarnych w budynkach nie rysowaliśmy pracochłonnych rozwinięć pionów kanalizacyjnych i sieci wodociągowych, ograniczając się jedynie do schematów podejść i zaznaczenia urządzeń sanitarnych. W projektach instalacji elektrycznych również ograniczyliśmy się do zaznaczenia wszystkich łączy, gniazd, kontaktów i wyłączników, nie rysując tak zwanego "sznurowania" przewodów. Dla setek budynków mieszkalnych opracowaliśmy tylko osiem różnych projektów, powtarzając je po kilkadziesiąt razy. W kosztorysach pominęliśmy wszelkie wyceny pieniężne, ograniczając się jedynie do przedmiarów i zestawień materiałowych. I tym podobne.



Kasie z Grzesiem na Gubałówce

mieście, ani nawet w dolinkach Do Białego i Strążyskiej, już nie było. Leżał jeszcze grubą warstwą tylko na szczytach gór, tworząc na nich wielkie, skrzące się białą, czapy.

Po powrocie z Zakopanego musiałem znów przede wszystkim zadbać o jak najlepszą koordynację wszystkich prac, związanych z dokumentacją projektową dla miasta Mishraq, która wchodziła już w końcową swą fazę. Dla pewnego ożywienia i uporządkowania poszczególnych tomów i zeszytów gotowej dokumentacji wymyśliłem dekoracyjne, kolorowe winiety, które naklejone zostały na wszystkich egzemplarzach projek-

tów. Tylko opracowania Biura Komunalnego miały inne, ale też kolorowe, solidne okładki kartonowe.

W dniu 29 czerwca, to jest jeden dzień przed umownym terminem dostarczenia dokumentacji kontrahentowi irackiemu zakupiliśmy siedem jednakowych, dużych tekturowych waliz, na których też naklejone zostały nasze rozpoznawcze winiety. W nocy walizy te, pełne dokumentacji, zostały przez biurową nyskę zawiezione wprost na lotnisko Okęcie w Warszawie. Tam czekał już na nie przedstawiciel "Hydrokopu", by rano odlecieć z całym ładunkiem do Bagdadu.

W ten sposób, wraz z pierwszym półroczem 1971 roku, zakończyła się pierwsza większa przygoda pracowni PW-2 z "eksportem". Pozostało mi jeszcze tylko "wysmażenie" końcowego rachunku za wykonane prace, a potem dokonanie wewnętrznego rozliczenia premiowego. Natomiast inwestor iracki w niedługim czasie przekazał "Hydrokopowi" zielone papierki, a nam dodatkowo uroczyste podziękowanie za wysoką jakość i dotrzymanie terminu opracowania dokumentacji realizacyjnej nowego irackiego miasta Mishraq nad Tygrysem.

Również wszyscy pracownicy PW-2, biorący udział w eksportowym przedsięwzięciu, mogli mieć uczucie zadowolenia z dobrze wykonanej pracy i z wynagrodzenia za nią, pobranego wkrótce w biurowej kasie. A trójka studenckich tłumaczy to przyszła nawet specjalnie do mego gabinetu z kwiatkiem i podziękowaniami za pieniądze oraz z ofertą dalszej współpracy przy ewentualnym kolejnym eksporcie.